№ 22.

Warszawa, dnia 28 maja 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki**, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WYJĄTKI ZE WSPOMNIEŃ W. G.

(Dalszy ciąg)

OPIEKA STRYJA, SZKOŁY I PROFESSOROWIE.

Daremnie byłoby opisywać wszelkie cierpienia, troski i udręczenia mojéj matki, biednéj opuszczonéj wdowy z trojgiem sierot, w pierwszych zaraz dniach po śmierci ojca. Wszelako trzeba się było zgodzić z twardém przeznaczeniem i coś przedsięwziąść. Jakoś zdecydowała się odstąpić dzierżawy, wyzuć się z reszty mienia i samodzielnego bytu, a oddać się pod opiekę swéj matki, babki mojéj, która dla niéj i młodszego rodzeństwa mego, ofiarowała przytułek w jednéj wsi swojéj Minodze, wyznaczywszy na ich potrzeby bardzo szczupłą kwotę pieniężną i ograniczywszy jéj wolę w codziennem życiu nad wyraz ściśle. Była to w całém znaczeniu najściślejsza kuratella, któréj surowe przestrzeganie powierzyła swym officjalistom, a ci nie dość że téj politycznéj niewoli nie starali się złagodzić, lecz owszem, w myśli przypodobania się swéj pani, zuchwałą bezczelnością, podglądaniem i fałszywemi doniesieniami, obostrzali i nad wszelki wyraz dokuczliwemi czynili[1], już samo z siebie nader smutne położenie biednéj kobiety.

Moim opiekunem został stryj, wzięto mnie przeto do Krakowa i do tamtejszych szkół licealnych S. Anny oddano. Mieszkania jednak nie przeznaczono dla mnie w domu stryjowstwa, który na pańską stopę urządzony, ciągle w Krakowie trzymali, lecz umieścili mnie u swego kucharza, którego syn, uczeń wyższéj klassy, był moim korrepetytorem. Sprawiono mi odzież na podobieństwo liberji, którą zalecili do roku szanować, wyznaczyli sześć złotych miesięcznie na papier, pióra, ołówki i wszelkie inne potrzeby, tudzież na śniadania i podwieczorki. Obiad i kolację nosił z drugiego stołu stróż kamieniczny, w ostatku nagadali mi morałów, nie szczędząc wyrzutów moim rodzicom, że majątku nie zostawili, a w mniemaniu, że do-

pełnili wszystkiego, co tylko im serce pokrewne podyktować mogło, zostawili mnie samemu sobie, pozbawionego zachęty, troskliwości, a nadewszystko dobrych przykładów. Z początkiem każdego miesiąca trzeba było chodzić do stryja, po te nieszczęśliwe sześć złotych. O! była to dla mnie okropna, udręczająca powinność.

Zwykle za pierwszém przybyciem nie widząc go, odprawiony zostawałem najczęściéj przez jego faworyta komissarza. Ten z obcych stron przybysz, zrazu był chłopcem przy kredensie, późniéj kamerdynerem, a wonczas już pełnomocnikiem i pierwszym przybocznym doradcą, a jak to mówią, prawą ręką, ale niepoczciwą i niewierną. Późniéj spanoszony na stryjowskim chlebie, był sobie zacnym posiadaczem i obywatelem... miał bowiem pieniądze. On to, gdym się już długi czas na sali między służbą wyczekał, wychodził z pokoju mego stryja, i z miną zadartą, protekcjonalną, bezczelną, zmierzając mnie od stóp do głów, zwykle mówił:

— „Pan graff stryjaszek ne ma czasa. Pan Albert ne potrzebnie się tak kfapi, takowa znaczna culag, jakie pan graff stryjaszek panu Albertowi płaci, pofinni na dlugo wistarczyć, a nie na jeden miesiąc. Trzeba się kalkulofać, bo pan graff stryjaszek choć ma dopra, ma téż i fielkie widatki. Ja nechcem panu Albertowi u pan graff psuć serce, Boże sachowaj! ale mnie się tak widaje jakoby te pieniądze na so innego obrasane byli, a ne na papier i olofka. O! ne, ne."

A trzęsąc swą kędzierzawą głową i lustrując mój surdut przeszłoroczny. co wyglądał jakby był z szaréj kanwy uszytym, westchnął jeszcze zapewne nad marnotrawstwem którego się stryj względem mnie dopuszczał, i odchodził.

I tak przychodziłem nieraz trzy i cztery razy, zanim doczekać się mogłem, aż przypadkowo stryj wychodząc ze swego pokoju, bo wejść samemu nigdybym się nie poważył, ujrzał mnie wreszcie trwożliwie i nieśmiało stojącego w kącie. Wówczas niby sobie przypominając czego żądam, zawsze jednak z groźną i nieukontentowaną miną, nie rzekłszy ani słowa wyjmował z kieszeni talara, z niechęcią mi go rzucił i nieczekając podzięki, przechodził do pokojów ciotki.

To upokarzające mnie traktowanie, ta wzgarda od najbliższych krewnych na którą bynajmniéj nie zasłużyłem, zabijała mnie moralnie. Zalewałem się też gorzkiemi łzami, a widząc to stary zasłużony kredencerz, poczciwy Jan Kowalski, pocieszał mnie zwykle temi słowami:

— „Nie płacz pan, panie Albercie. Pan Bóg dobry i sprawiedliwy, panicz tak dobrze będziesz sobie hrabią swego czasu, jak i nasi panicze. Alboż to panicz innego gniazda czy co? O! o! więcéj Pan Bóg ma jak rozdał, alboż to panicza wina, że pański rodzic coś tam majątku opuścił? Mocny Boże, kto poniżony, to go podwyższą, a kto płacze to błogosławiony. Tak panie Albercie to święta prawda. Jak panicz dorośniesz będziesz panem, a kto wie jak tam i w niebie zapisano dla naszych paniczów? Bo to fortuna kołem się toczy, wszakci to ja pamiętam dobrze, a niedawne to czasy, świętéj pamięci rodzica paniczowego, świeć Panie dobréj jego duszy, bo poczciwe to było panisko, jak do panny Starościanki mamuni paniczowéj, zajeżdżał. Mocny mój Boże! co to były za konie, jakie powozy a jaka suta liberja! Gdzie szew, tam galon. Pomnę sobie raz, było to w r. 1809, po jego ożenieniu już, kiedy to stał w Krakowie nasz książę Józef. Wali sobie koło odwachu głównym rynkiem, strzelec pańskiego rodzica, złoto kapało z niego, a pióra na kapeluszu tak bujały jak pawi ogon! Jakiś rekrut stał na warcie, jak go zoczył, dyn-dyn-dyn, w dzwonek jakby się paliło: warta wystąpiła do broni, a oficer nim się spostrzegł że to nie żaden jenerał, sprezentował przed nim broń. No i któżby wówczas był powiedział, że dziś na to przyjdzie? Ale co tam! więcéj Pan Bóg ma jak rozdał, powiadam paniczowi."

Dobre Janisko co do przyszłości moich stryjecznych braci, których miałem dwóch umieszczonych w Wiedniu w Teresiarum i używali tytułu hrabiów, zgadł trochę, ale nie bardzo co do mojéj pańskości, bo jakoś dotąd, a przebiegam już pięćdziesiątkę, nie mogę się jéj przecież u siebie doczekać.

Koniec końców, trwożliwy z natury, nieposiadający téj przyrodzonéj tęgości charakteru i pewności siebie samego, co to w pierwszym wstępie między ludzi, umacnia nam i upewnia drogi do dalszego w świat pochodu, ciągle więc podobne poniżanie, uśpiło we mnie całkiem, wszelkie władze samodzielności, które się były powinny rozwijać w młodzieńcu. Wprawdzie takowe z czasem wiek i doświadczenie przywołały jeszcze do życia, wszelako nigdy już w tym stopniu, jakie mężczyzna, gdy z młodu, chociaż energiczną ale oględną prowadzony ręką, posiadać powinien. Nikt się zatém dziwić nie powinien, że pozbawiony świeżo najlepszego ojca, oderwany od bolejącéj matki i rodzeństwa, rozstrojony całkiem na duszy i rozżalony do głębi serca, rzucony między obce. zimne, nieczułe serca, czując że miałem prawo do pewnych względów jako najbliższy krewny, a przecież choć jeszcze nie zasłużyłem, już karany byłem upokorzeniem: nie dziw więc, że moralnie nie wie-

le się rozwijałem, ani czyniłem wielkich postępów w naukach, bo nie było mnie komu do tego zachęcić, czy to przykładem lub miłością. Owszem wszystko mnie odstręczało i drażniło, a wymagano po mnie, bym się łączył z młodzieżą memu urodzeniu odpowiadającą i nazywali mnie wisusem, gdy z synami biednych rodziców widzieli mnie przestawającego. Bez wątpienia, towarzystwa podobne nie pomagały wcale do kształcenia się, ale w szkołach tak dobrze jak później w życiu, wzięte jest za zasadę ogólną owo przysłowie: że jak cię widzą, tak cię piszą. Dlatego w szarym wiecznie surducie, z dziurawemi często łokciami i w połatanych butach, chłopcy postrojone majętniejszych rodziców unikali i wstydzili się, a nawet dotkliwie nieraz upokarzali. Dość na tém, że w samym początku mego zawodu szkolnego, zostałem całkiem zniechęcony i mimo méj wiedzy i woli na złą wprowadzony drogę. Broiło się też i że się szkolnym wyrażę językiem, lampartowało nie mało.

Kiedym przybył do szkół w r. 1820, w Liceum S. Anny, był Prorektorem najprzód Wysocki, człowiek uczony, dobry pedagog, trochę zgrzędny i maruda, ale zresztą prawy i uczciwy. W niższych klasach dawał języka polskiego i deklamacji profesor Sławiński, poczciwy starowina! zwykle w płaszczu na ramionach, w okularach na nosie chodząc po klasie, prelegował albo dyktował nam bajeczki, które sam najprzód przedeklamował cichym, uroczystym i przeciągłym głosem. Znana była powszechnie w klasach jego ulubiona: Zkąd przychodzisz Ksymenie? w cudzoziemskie kraje...

Język łaciński, wykładał profesor Orłowski, dawny napoleoński oficer, człowiek surowy i wojskowych manier. Ty hebesie! nequam! były ulubione jego przydomki dawane uczniom, ale sprawiedliwy i szkodzić nie lubił, chociaż i mniéj pilnym. Merle profesor języka niemieckiego, w szaraczkowym wiecznie fraku, w czarnych opiętych do butów spodniach, w okularach, źle po polsku mówiący. Za pojawieniem się w klasie witany był zwykle sykaniem i tupaniem. On znać oswojony już z tą ciągłą demonstracją malców, nienawidzących bardziéj lekcji jak jego osoby, ograniczał się tylko na ciągłém: szy! szy! Francuzki język wykładał Bogucki, dobry to i łagodny niezmiernie był człowiek. Byłem jego faworytem i zwykle podczas lekcji jego cenzorem, a to ztąd, że mówiłem płynnie po francuzku już z domu do szkół przybywszy. Byłem zatém jego premjantem zawsze, ale też to podobno z tego jednego tylko przedmiotu. Za to arytmetyka, którą niemniéj jak fizykę wykładał nam profesor Łuszczkiewicz, oraz matematyka szła mi niezmiernie tępo.

Nad wszzstkich jednak, Kosicki profesor łaciny i literatury w klasach wyższych, był ulubieńcem młodzi. Żwawy, nie pedant, ostry ale wyrozumiały, miłujący młodzież i umiejący nią powodować, pobłażliwy na wszelkie wybryki które zawsze zdołał przed Prorektorem usprawiedliwić, miał w sobie coś jakby wojskowego, co się nam młodym niezmiernie w nim podobało. Bywało na majówkach, a była to uroczystość doroczna, na którą przygotowywaliśmy się od zimy, Kosicki był przewódzcą i duszą naszą! Już na parę tygodni przed naznaczonym na majówkę dniem, gorące modły każdy zasélał do nieba o pogodę, a gdy dzień ten szczęśliwie zawitał, od świtu, dobosz milicji krakowskiéj stary Napoleończyk Jabłoński, chodził po ulicach i bębnił zbiór przed S. Annę. Niebawem młódź różnego wieku i klas ściągać się poczęła; biedniejsi z tłomoczkami pod pachą lub na kiju, bogatszym zaś wiozła rodzina lub znajomi, różne przysmaczki lub wiktuały na cały dzień.

Gdy już ulica S. Anny zapełnioną została, występował Kosicki i obejmował naczelne dowództwo, w czém jeżeli był w dobrym chumorze, dopomagał mu Orłowski. Formowano więc według klas i starszeństwa sekcje, dla każdéj zaimprowizowano chorągiew, dobosz na czele z profesorami i wszystko w najlepszym porządku z pieśnią: Zawitał dzień pożądany, i t. d., pociągało na Bielany. Za nami ciągnęły się długim szeregiem wózki, powozy, dorożki z rodzicami, znajomemi a nawet i nieznajomemi, bo majówka na Bielanach była zarazem i świętem dla całego Krakowa. Tam przybywszy szliśmy do kościoła księży Kamedułów na mszę, po któréj dopiero rozsypywano się po lesie. Tu grano w metę i w palestrę, tam małą toczono wojnę, owdzie improwizowano na dębach chustawki, daléj pozakładano namioty, ogniska, porozstawiano na zielonéj darni różne jadła i napoje, a te różnorodne gruppy po całéj téj przeslicznéj pustelni porozrzucane, dziwnie czarujący przedstawiały widok.

Kiedy słońce zaszło, tym samym porządkiem wśród śpiewu wszystko wracało do miasta, gdzie ciemnym już zmrokiem stanąwszy, strudzeni całodzienną hulanką i marszem, upragnieni spoczynku po domach się rozsypywaliśmy. Odbyta jednak majówka, długo jeszcze była potém przedmiotem codziennych przypominków i przytoczeń różnych wydarzeń dnia tego. Na rok jakoś przed mojém opuszczeniem szkół w Krakowie, przybył na Prorektora do S. Anny, pan P. figura słodkonudna. W całym swym układzie miał coś fałszywego i podstępnego. Głównie nie lubiliśmy go za to, że kiedy bić kazał to płakał i głaskał leżącego na

ławie dogadując wciąż, mój aniołku! połóżże się, połóż serce. Daj mu tam piętnaście rózeczek, będzie ci zdrowo aniołeczku. Potem uściskał, ucałował i wyprowadzał z grzecznością za drzwi! Owóż podobne postępowanie przypominające krokodyla, oburzało chłopców serc otwartych, nie zepsutych i tego naszego czysto narodowego usposobienia, co to jak bić to bić! a nie płakać nad ofiarą ani całować, bo to hipokryzją trąci.

Tak lat cztery upływało już od śmierci ojca mego, lat cztery opieki stryjowskiej nademną i tyleż nad matką mieszkającéj u babki. Długie i uprzykrzone lat cztery, pełne cierpień, zniewag i ciągłych wyrzutów. Rosłem w zaniedbaniu zupełném, nie mając nawet téj pociechy, aby być zachęcanym, umacnianym od czasu do czasu, radą lub napomnieniem macierzystém, pokrzepianiem przez nią w znoszeniu téj pierwszéj twardéj szkoły życia. Babka bowiem zakazała stanowczo, aby mnie na żadne święta ani wakacje nawet, nie ważyła się do siebie sprowadzać, snać z obawy, aby raz na zawsze wprowadzony spiżarniany porządek, nie był zmuszony uledz choćby chwilowéj zmianie. Każdy kto pamięcią cofnie się w swoje czasy studenckie, w ten wiek pełen miłych ułudzeń, wrażeń i nadziei, kiedy to rekreacja niespodzianie ogłoszona, nadchodzące święta, opromieniały radością wszystkie młode czoła. a wakacje były ostatecznym celem najsłodszym, codziennych marzeń, pojmie jaka boleść musiała przejmować tego, który patrzył się jak po kolei wymykały się z miasta pakowne bryki, wozy i kolasy; ładowne szczęśliwemi młodzieńcami, jadącemi uściskać rodziców i młodsze rodzeństwo, popisać się z nabytemi wiadomościami, a potém używać wszelkich wsi rozkoszy, za któremi tyle tęskni student. Ja przez cztery lata musiałem na to tylko patrzéć i boleść tłumić w głębi zranionéj duszy, nie mogąc się nawet przed kim wypłakać, bo nie było nikogo, ktoby mnie był pojął i ten słuszny żal ocenił. O! nie śmiejcie się z dziecka i z lekceważeniem nie urągajcie się jego cierpieniom, bo zdarza się, że kto w zawiązku dni swoich na duszy srodze zranionym został, blizną ta w późniejszym ciągu żywota, choćby najpomyślniejszego, często się odnawia, i jak bolesne echo, gdzieś tam w głębi serca od czasu do czasu czuć się daje.

Udało mi się jednak przez te czasy parę razy skrycie odwiedzić dobrą matkę i ucieszyć się choć przez dni kilka z rodzeństwem. O! ileż to radości ileż szczęścia było wówczas dla mnie! Tajemniczość i obawa, aby bytność moja nie doszła do wiadomości babki, dodawała jeszcze uroku tym najczęściéj pieszym wyprawom moim, któreby nazwać można awanturniczemi, gdyby celem takowych nie była matka, brat i siostra. d. c. n.

ROZRYWKI
DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

POD REDAKCJĄ

Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj.

Z końcem zeszłego roku, wyszedł Tom V i ostatni trzeciéj Serji *Rozrywek dla młodocianego wieku*, pod Redakcją Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj.

Tom ten, zamyka całość wydawnictwa téj pięknéj, i nauczającéj publikacji, która obejmuje XV tomów.

Brak pisma poświęconego wyłącznie młodzieży, która pragnie wyższego wykształcenia, zpowodowała szanowną redaktorkę, do ogłoszenia *Rozrywek* w r. 1856.

Wybrała ten napis dla swego wydawnictwa, ażeby przypomniéć pełne wartości *Rozrywki dla dzieci* Klementyny Tańskiéj; treść jego zastosowała do poprzednich: ale umiała rozszerzając ramy, podnieść *Rozrywki*, na wyższy nastrój, bacząc, na zmiany czasu, i potrzeby więcéj ukształconych czytelników swoich.

Kładąc na czele *wspomnienia i opowiadania historyczne*, któremi teraźniejszość wiąże się z przeszłością, rozwinęła wykład zajmujący a nauczający literatury ojczystéj, od najdawniejszych czasów, aż do ostatnich lat Zygmunta Augusta.

Redaktorka wykład ten podzieliła na *czytania*, z których każde obejmuje pewną całość w sobie. W pierwszéj Serji mamy tych *czytań XII*, w drugiéj XIV, w trzeciéj VII.

Autorka, wykład literatury, umiejętnie wiąże z dziejami narodu, i daje przeto najdokładniejsze obrazy, tak życia umysłowego jak politycznego. Jako wzbogacenie tego działu od czasu do czasu w listach, podaje treściwe a pełne wdzięku sprawozdania o najnowszych płodach literatury, tak naszéj jako i zagranicznéj.

Dział życiorysów, oprócz wielu innych obejmuje kilka obszernych i starannie opracowanych przez Redaktorkę jak, życie *Klementyny z Tańskich Hofmanowéj*, zbogacony nieznanemi dotąd szczegółami i listami, księdza *Karola Antoniewicza, Franciszka Morawskiego* i *Władysława Syrokomli.* Każdy z nich maluje nietylko życie i zasługi tych pisarzy, ale zapoznaje nas z najpiękniejszemi pracami ich pióra.

Bogate są *Rozrywki* w utwory poetyczne, pełne namaszczenia i wdzięku. Oprócz wielu poezji Deotymy i saméj Redaktorki wysokiéj wartości, czytamy utwory Marji Ilnickiéj, nacechowane jak zawsze uczuciem, rzewnością, i czarujące cudném wystawieniem.

Niemożemy pominąć obrazów dramatycznych P. Pruszakowéj, *Olsztyn* i *Jassyr*: w obu jaśnieje obok wzniosłego talentu, niezwykła siła wiersza, i dziwnie piękny język, przypominający Zygmuntowskich pisarzy.

Znać w nich, że autorka z zamiłowaniem studjowała zabytki tego okresu, i umiała artystycznie z nich korzystać. Jakoż we wszystkich jéj utworach prozą czy wierszem, uderza język pełen mocy, wdzięku i toku prawdziwie staropolskiego.

Działy, powieści historycznych jak obyczajowych, podróży, zarysów literatury zagranicznéj, wiadomości z nauk przyrodzonych, jak listów w żywotniejszych przedmiotach, i *Rozmaitości* ubogacają treścią swoją, poważniejsze rozprawy.

Z tego krótkiego poglądu, widziemy że Redaktorka, dążąc stale do zamierzonego celu, w każdym dziale swego pisma, baczną zwracała uwagę, na dobór artykułow, z których każdy jeżeli wykłada naukę, łączy w sobie powab zajmujący dla młodocianego umysłu, przedstawieniem popularnym i wdziękiem stylu, jeżeli treścią innych jest rozrywka, tkwi w każdym myśl głębsza i nauka moralna.

Wydawca przy zamknięciu ostatniego tomu powiedział:

„Zbiór cały *Rozrywek*, stanowi dzieło, które śmiało polecić można każdéj rodzinie polskiéj, troskliwéj o wychowanie młodego pokolenia w zasadach wiary przodków, moralności i miłości do dawnych wspomnień dziejowych"

Godziemy się na te słowa, które tchną szczerą prawdą.

Redaktorka, rozpoczynając wydawnictwo *Rozrywek* w r. 1856, na czele umieściła śliczny wierszyk p. n. *Siejba*, w którym mówi:

Błysło świtem zaranie
Pomrok spada powoli,
Jdę z wiarą o Panie,
Ziarno posiać na roli!

Trud mnie dzienny nie znuża,
Nie ustraszy znój;
Jedno łaską o Boże,
Siew błogosław mój!

Rzucam ziarno! o Boże,
Ty spuść łaski zdrój,
Wzywam ciebie w pokorze,
Siew błogosław mój!

Rzewna a gorąca ta modlitwa została przyjętą, bo siew myśli i uczuć szlachetnych, jaki rzuciła na obszernéj niwie *Rozrywek* swoich, musi dać plon bujny i zdrowy dla ducha i serca.

K. Wł. W.

---

* * *

Rozważając dwa sprawozdania z czynności zeszłorocznych Towarzystwa Dobroczynności i Instytucji jałmużniczéj, istniejącéj przy Arcy-Bractwie adoracji Przenajświętszego Sakramentu, ogłoszone nie dawno przez pisma publiczne, mimowoli nasunęły mi się, pewne wątpliwości i wnioski wprost sobie przeciwne, których przedstawienie uważam za konieczne i obowiązkowe.

W roku zeszłym Tow. Dobr. utrzymywało stale starców i kalek 325; sierot 170, w ochronach z żywieniem i nauką w przecięciu 1,200 dzieci, w żłobkach około 60 niemowląt; nadto udzielało wsparcia pieniężne biednym w mieście zamieszkałym i wydawało objady pięciogroszowe czyli przedawało je za cenę znakomicie mniejszą od rzeczywistéj wartości, na co naturalnie znaczne ponosiło koszta. Na pokrycie wszystkich tych wydatków Towa. Dobro. potrzebuje rocznie przynajmniéj 400,000 złp. na co stałego dochodu z procentów od posiadanych kapitałów posiada tylko złp. 166,666 gr. 20, czyli mniejszą połowę, resztę zaś wynoszącą złp. 233,333 gr. 10, zbierać musi z miasta z mozołem którego mu zupełnie nie zazdroszczę. Mimo tak rozwiniętéj działalności Towarzystwa, mimo rozlicznych wsparć udzielanych z procentów od legatów zostających pod zawiadywaniem Magistratu i różnych Instytucji, mimo korporacji rzemieślniczych, ratujących biednych swych braci w potrzebie, pomimo dobroczynności prywatnéj, ofiar zbieranych za pośrednictwem pism perjodycznych i innych datków dobroczynnych z różnych pochodzących tytułów, żebraków wyciągających publicznie rękę nic nie ubywa, a prawdziwa bieda upadająca pod ciężarem przeciwności jakoś się nic nie zmniejsza.

Pomału na wszystko znalazłaby się rada, ale dziś nie idzie mi tu o radę, tylko o wykazanie, że Warszawa ma dosyć biednych o których zmuszona jest myśléć i że Towarzystwo Dobr. choć wydaje

rocznie złp. 400,000. a drugie tyle inne instytucje, zakłady, szpitale, składki, ofiary, cechy i t. p., Towarzystwo Dobr. znalazłoby jeszcze miejsce na trzecie czterykroć złp. gdyby tylko jakimś dziwnym sposobem, zostało w posiadaniu téj kwoty. Słowem że biedy nie brakuje, i gdzie się człek obróci, gdzie zajrzy, wszędzie z nią spotkać się może; składki zaś datki i ofiary, zaledwie wystarczają na pokrycie niezbędnych wydatków, o oszczędnościach na rok następny nawet myśléć nie można, a cóż dopiero o przyłączaniu oszczędności tych do kapitału. Tymczasem ze sprawozdania *Instytucji jałmużniczéj, przy Arcy-Bractwie nieustającéj adoracji Przenajświętszego Sakramentu,* zupełnie przeciwnego nabieramy przekonania. Tam bowiem dochody znacznie przewyższają wydatki, a przewyżka widocznie nie mając się gdzie obrócić, zmuszona jest aż zamieniać się w kapitał, żeby choć tym sposobem korzyść przynosiła ogółowi.

Sprawozdanie bowiem powiada, że w roku zeszłym rozdano wsparcie osobom 155, w summie wynoszącéj ogólnie złp. 3,193 gr. 10, co w przecięciu wypada na jedną osobę po złp. 20 gr. 18; że utrzymywano kosztem Instytucji na pensji Panien Sakramentek dwie sierotek, i że pozostało oszczędności złp. 1,736 gr. 5, które połączone z remanentem lat dawnych stanowią razem kapitał złp. 18,024 gr. 4.

Celem Instytucji jest, ze zbieranych ofiar umieszczanie na pensji Panien Sakramentek, ubogich sierot panienek; wspieranie osób zubożałych a kiedyś cieszących się lepszą dolą, i zaspokajanie kosztów pogrzebu zmarłych ubogich członków arcybractwa. Sprawozdanie nie może się dosyć nachwalić *gorliwości i poświęcenia* rozwiniętych przy wyszukiwaniu ubogich wstydzących się żebrać i na dowód tego powiada, że: *w żadnym jeszcze roku tak znacznego nie udzielono wsparcia jak w zeszłym, i że zbawienne owoce działań Instytucji, zawdzięcza troskliwości Zarządu.* W innych zatém latach jeszcze mniejszą liczbę ubogich wsparto jałmużną, a kiedy była i *gorliwość i poświęcenie*, przy wyszukiwaniu tychże, wnosić można, że w Warszawie prawdziwie ubogich nie ma więcéj jak 155, to jest tylu, ilu wsparła Instytucja, i że ubodzy ci nie w zbyt krytycznem znajdują się położeniu, skoro w przecięciu na głowę po złp. 20 gr. 18, było zupełnie wystarczającym na rok cały zasiłkiem. Nie ma bowiem wątpliwości sądząc po *gorliwości i poświęceniu*, że Instytucja nie odepchnęłaby biednych gdyby było ich więcéj, i że cyfrę wsparcia niezawodnieby podniosła, gdyby to okazało się koniecznem, czyli że dochód cały rozdałaby między ubogich, a nie zamieniała go w kapitał, jak to z wielkiém zapewne smutkiem zmuszoną była uczynić. I sierotek także widocznie w Warszawie zabrakło, skoro pomimo posiadanego funduszu, tylko dwie znalazło pomieszczenie na pensji Panien Sakramentek.

Jakimże się więc dzieje sposobem, że gdy Tow. Dobr. szafując krocie na ubóztwo, każdy grosz z największym zdobywając trudem, zaledwie wystarcza niezbędnym i koniecznym jego potrzebom, szczęśliwe gdy rok zetknie z rokiem bez zaciągnięcia pożyczki i naruszenia posiadanych kapitałów; Instytucja jałmużnicza część dochodów swych może kapitalizować, choć to przeciwne jest celowi w jakim została zawiązaną i intencji ofiarodawców. Znam dobrze wartość i użyteczność kapitału, ale zbieranie go z datków dla biednych przeznaczonych, których nawet całkowity szafunek rzeczywistéj potrzebie zaledwie wystarcza, jest dla mnie zupełnie niezrozumiałém i niepojętém. Dobroczynność bowiem serc miłosiernych, jest to kapitał niespożyty, w postaci ofiar wieczny przynoszący procent, którego wszelkie instytucje są tylko szafarzem, obowiązanym rozdać go trafnie i rozważnie. Kapitalizowanie zaś takiego dochodu, jest to składanie procentu od procentu, co u osób prywatnych odmawiających sobie dla miłego grosza niezbędnych i koniecznych wydatków, nazywamy sknerstwem. Instytucja jałmużnicza zupełnie podobnie postępuje, bo zrzekła się niezbędnych i koniecznych wydatków jedynie tylko w celu powiększenia swego majątku, który obecnie już przedstawia znakomitą cyfrę bo aż złp. 96,985 gr. 10 wynoszącą. Czyż więc procent od téj summy choćby wieczyście pobierany, zdoła ukoić boleść niedoli, jakiéj rozdanie na wsparcie tak uzbieranego kapitału mogło zapobiedz?

Kwestję tę ważną oddaję pod Wasz sąd i rozstrzygnięcie; co do mnie, kapitalizowanie ofiar dobroczynnych wprost potępiam, jako niezgodne z duchem instytucji, z myślą ofiarodawców, i jako podobne do czynności człowieka, coby się trawił głodem i nędzą przez całe swe życie, aby dopiero w starych latach, z procentu od tak wymęczonego kapitału, zapewnić sobie jaką taką wygodę.

ROZMAITOŚCI.

Pogrzeb Meyerbeera. Dnia 2 Maja, wielki ten mistrz, twórca tylu arcydzieł muzycznych, zakończył życie w Paryżu. Natychmiast utworzony komitet, postanowił ciało przewieść do Berlina, i w tym celu salę kolei północnéj wybito czarną materją i urządzono trybuny. W obecności komisarza

policji nabalsamowano zwłoki, zamknięto w dwóch trumnach i wystawiono w pomieszkaniu nieboszczyka w pośród kwiatów i wieńców z nieśmiertelników. Tu oddały ostatni hołd umarłemu, deputacje różnych akademji, członkowie konserwatorium, towarzystwa dramatycznych pisarzy, członkowie opery wielkiéj, komicznéj, dwóch niemieckich muzycznych stowarzyszeń i wielu innych. O godzinie 1 z południa. wyruszył kondukt pogrzebowy. Przed olbrzymim, przez sześć koni ciągnionym karawanem, jechało dwóch rabinów

Za nimi postępował mistrz ceremonji, niosąc na poduszce dekoracje nieboszczyka, potém służba synagogi, rodzina i niezliczone tłumy ludu, z deputacją francuzkiego instytutu na czele. Każda korporacja niosła chorągiew z właściwym napisem, na końcu szły powozy w wielkiéj liczbie i oddziagwardji narodowéj. Różne oddziały muzykantów grały żałobne marsze, wyjęte z utworów zmarłego mistrza, a odzywające się od czasu do czasu werble bębnów, nadawały całemu pochodowi ponury charakter. Na bulwarze Madelaine wielka liczba dam złożyła na trumnie wieńce i bukiety. Część kolei północnéj zamieniono w żałobną kaplicę, oświeconą była zielonemi płomieniami, a na ścianach wisiały tarcze z tytułami dzieł Meyerbeera. Na środku stał olbrzymi katafalk, poseł pruski, hrabiowie i baronowie, trzymali końce całunu, trzy orkiestry zagrały kompozycje zmarłego, powiedziano siedem mów rozmaitych, a starszy rabin zakończył modlitwą w hebrajskim i francuzkim języku. W wagonie wewnątrz i zewnątrz czarno wybitym, umieszczono trumnę, która pociągiem nadzwyczajnym w 25 godzin przybyła do Berlina; bez żadnego obchodu ustawioną została w pomieszkaniu zmarłego na katafalku ubranym najpyszniejszemi kwiatami.

Na drugi dzień w południe zebrał się orszak pogrzebowy, w którym widziano książąt: Jerzego Radziwiłła, hrabiów Luchesini, Rederu, ambasadora francuzkiego, hanowerskiego, deputacje magistratu miasta, opery i t. d. Uroczystość otworzył śpiew członków opery, potém starszy rabin miał mowę pogrzebową, w któréj wykazał, że Meyerbeer żelazną pracą i geniuszem wstępował po stopniach coraz wyższych i zdobył sobie imię, które nietylko Europa ale i świat cały, z uszanowaniem będzie wspominał; dzieła bowiem jego są pisane mową, którą każde ucho rozumie. Obchód zakończył śpiew żałobny, trumnę potém ustawiono na karawanie zdobnym w palmy i odprowadzono piechotą w wielkim tłumie na cmentarz żydowski. Król i wszyscy książęta krwi posłali swoje pojazdy za pogrzebem, a królowa przysłała do położenia na trumnę ogromny wieniec.

Meyerbeer pozostawia wdowę nieobecną na pogrzebie i trzy córki, które z płaczem postępowały za trumną. Najstarsza jest zamężną za rotmistrzem gwardji dragonów baronem v. Korff, który także był na pogrzebie.

Sprawozdanie o modach.

W jedném z poprzednich sprawozdań naszych, mówiliśmy o sukniach i innych artykułach mody, które panny Kuhnke przywiozły na model z Paryża, dziś dopowiemy jeszcze kilka słów w tym przedmiocie.

Z pomiędzy sukien robionych w sławnym zakładzie Worsta, zwróciła uwagę naszą fularowa hawanna, z wolantem nadpowietrznym szerokim na pół łokcia. Nad wolantem szła także sama rusza, przeszyta przez środek ciemniejszym sutaszem jedwabnym. Stanik szczególnego rodzaju, składał się razem z koszulki i kaftaniczka greckiego. Tak przody jak plecy koszulki i kaftanika były osobne, ale zszyte razem na ramionach i po boku. Stan u koszulki dłuższy był niżli u kaftaniczka, obciśnięty paskiem, który się kończył na boku rozetą zamiast klamry. Kaftanik ogarnirowany był ruszą do koła.

Inna suknia bareżowa czarna, miała u dołu także ruszę, przegrodzoną fijołkową wstążeczką. Nad tą ruszą był odstęp szeroki na ćwierć łokcia, powyżéj zaś półłokciowy wolant, objęty pliską fijołkową. Wolant ten w górze przytwierdzony był do spódnicy drabinką z krótszych i dłuższych szczebelków fijołkowych, danych na każdym fałdzie. Stanik marszczony był do karczka, niższa część stanika wycięta w zęby, zachodziła na karczek tworząc u brzegu wypuszczoną falbankę, objętą fijołkowym rulonikiem. Rękawy nie zbyt wązkie, lekko przymarszczone u ręki ujęte były w ruszę.

Inna znów suknia z gęstego bareżu popielatego, jakby potrząśniętego piaskiem (*Sablé du Brésil*), miała u dołu falbaneczkę zakończoną pliską z jaśniejszéj cokolwiek materji. Nad falbanką szły takież trzy pliski przedzielone przez środek białym sutaszem. Stanik i rękawy, stosownie były przystrojone.

W ogólności szerokie falbany używane w tym roku do strojniejszych sukien. Bryty scinają zazwyczaj w górze, aby nadać spódnicy kształt wachlarza. Przód zazwyczaj tworzy jeden szeroki

i płaski fałd, zarówno jak tył spódnicy, wszystkie inne drobniejsze fałdy gromadzą się tylko po bokach

Wiele bardzo robią spódniczek z krótkim paletocikiem, na pół wciętym do figury, ogarnirowanym do koła ruszą, lub téż naszytym plisą jedwabną w rozmaity deseń. Spódnica bywa zwykle przybrana stosownie do paletotu.

Powiedzmy teraz o ładnych burnusach i okrywkach. Między niemi odznaczały się ładne burnusy, a raczéj Beduiny, popielate kaszmirowe, jedne zebrane z tyłu na takież same kokardy, i przez to tworzące jakby kapturek, inne znów spięte na szmuklerskie rozety.

Podobały nam się też rotondy czarne jedwabne, fałdowane w tyle, ubierane pasmanterją, z długim kapturkiem, i skromniejsze od tych rotondy bez żadnego garnirunku.

Piękny był téż burnus czarny jedwabny z długim kapturem na łokieć. Na tym kapturku szły trzy rozety z pasmanterji, dane w podłuż jedna nad drugą.

Inny takiż burnus, miał zamiast kapturka chustkę długą śpiczastą, zakończoną frendzelką z grelotkami.

Trzeci wielki burnus *Eugénie* z tyłu okrągły, z przodu zakładany na ręce, obszyty był wkoło wązką falbaneczką fałdowaną. Nad tém szła szeroka gipiura, a nad nią znów woda *à la vieille*, poważne to okrycie bardzo właściwe dla starszéj osoby.

Z okrywek, podobał nam się także bardzo, płaszczyk węgierski jedwabny, fałdowany z tyłu. Od boków do przodu, szła pelerynka zakończona w kant. Z tyłu naszyta była pletnia tworząc bogaty deseń. Od jednego ramienia do drugiego przechodziły grube sznury, przewiązane na plecach i przybrane kwastami.

Uważaliśmy także ładne paletociki czarne jedwabne, ubierane pasmanterją na rozmaity sposób. Jeden z nich szczególniéj nam się podobał. Z tyłu od stanu, spadały na dół trzy paski szmuklerskie, zakończone kwaścikami. Trzy takież klapki, tworzyły epolet na ramieniu, trzy inne zwrócone na bok tworzyły mankiet u rękawa.

Bardzo gustowne okrycia i kapelusze, widzieliśmy w nowo urządzonym magazynie Pani Kwiatkowskiéj. Najpiękniejsze beduiny z jasnego korciku miały szlaczek wokoło haftowany kolorowym jedwabiem, inne objęte były pąsowém suknem, najtańsze z popeliny rypsowéj zupełnie bez żadnéj ozdoby, kosztują po złp. 100 i 80.

Do ciemnéj sukni ładnie odpowiada jasny korcikowy paletocik, robią je zupełnie wolno puszczone albo wpadające do figury. Podobały nam się téż paltociki marynarskie z granatowego i fijołkowego sukna ozdobione guzikami z kotwicą. Czarne jedwabne burnusy i paletoty jako stosowne do każdéj sukni zawsze ulubioném są okryciem. Sprowadzono ich wielki wybór na rozmaite ceny, przybrane skromnie jedwabnemi plisami albo pasmanterją, kosztowniejsze gipiurą. Kapelusze okrągłe białe ryżowe lub z włoskiéj słomy znaleźliśmy u Pani Kwiatkowskiéj bardzo ładnie ubrane brązowym aksamitem i takiemiż piórami. Kaszkieciki z rydelkami po większej części opasane były tiulowemi czarnemi szarfami i puklami z aksamitu, inne obłożone aksamitem w szkocką kratę. Kapelusze wiązane pod brodę odznaczały się również wytwornym gustem, jeden z nich z włoskiéj słomy ubrany był wstążką koloru *maïs*, aksamitem szafirowym i piórem ryżowém, zasianém pszczołami. Podpięcie składało się z blondynki i szafirowego aksamitu nad czołem. Oryginalny kapelusz ze słomy białéj belgijskiéj, składał się ze słomianego rondka, w miejsce główki spadała siatka kordonkowa koloru *maïs* z czarnemi paciorkami.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia z pół jedwabnéj popeliny, obszyta u dołu sznelową frendzlą i gwiazdkami z materij zielonéj. Stanik z baskiną, ubrany frendzlą w kształcie pelerynki. Kołnierzyk i mankiety płócienne. Kapotka marszczona jedwabna.

Figura 2. Suknia z lilla fularu gładkiego garnirowana takiemiż ruszami. Stanik z karoczkiem postyljońskim. Kapelusz krepowy.

Figura 3. Suknia fularowa w czarną kratkę, przyozdobiona falbanką i pasmanterją. Stanik z baskiną. Kapelusz ze słomy włoskiéj przystrojony czarną tiulową szarfą z końcami.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka, oraz przez pomyłkę niezamieszczony w przeszłym tygodniu, Spis przedmiotów na rok 1863.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 22 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 28 Maja 1864 roku.

JAN HALIFAX.

POWIEŚĆ Mss MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

Lord Rawenel uważał zapewne niejakie oziębienie w Janku i Urszuli od ostatnich wypadków. Wybierając się znowu do Paryża, przyjechał pożegnać się z nami, lecz powiedział razy kilka, że pragnie jak najprędzéj wrócić do Beechwood, gdyż tu tylko czuje się prawdziwie szczęśliwy.

Janek odpowiedział na to z współczuciem.

— Dziękuję panu! zawołał Rawenel, za nieocenioną jego dobroć. Będę się starał zasługiwać zawsze na takież same względy. Co do mnie radbym przekonać pana o mojéj szczeréj przyjaźni, ależ ja tak mało znaczę w świecie.

— Przeciwnie Milordzie, odrzekł Janek. Możesz pan wywierać wielki wpływ, okoliczności wybornie ci sprzyjają.

— Nie umiałem z nich korzystać, dziś już wszystko zapóźno.

— Czemu zapóźno? jesteś młody, masz wiele lat przed sobą.

— Czy tak pan myślisz?

I blada twarz jego ożywiła się nagle.

— Nie! nie! panie Halifax. Trudno aby człowiek rozpoczynał dopiero żyć w trzydziestym siódmym roku.

— Czy pan ma już lat trzydzieści siedm, spytała Magdalenka.

— Tak, moje dziecię, czy mnie znajdujesz bardzo starym?

To rzekłszy wziął białą i pulchną rączkę Magdalenki, poglądał na nią chwilę smutno, poczém pożegnał nas i odjechał.

Nazajutrz z wielkiém podziwieniem wszystkich, Lord Rawenel przyjechał znów do Beechwood, już nie konno, ale wspaniałym pojazdem z herbami. Oznajmił w kilku słowach, że odwlókł wyjazd swój do Paryża.

Zjadł z nami obiad, poczém wyszedł ze mną i z Magdalenką, na przechadzkę do bukowego lasku. Wspomniałem dawne czasy, kiedym tu przed trzydziestu laty, chodził w towarzystwie Janka i Urszuli.

— Czy pan nie znał rodziców moich kiedy byli młodzi, spytała Magdalenka, biegnąc wesoło przed nami.

— Nie, odrzekł Rawenel z uśmiechem, chociaż mógłbym ich był znać. W jakim wieku pobrali się państwo Halifax?

— Mój ojciec miał lat dwadzieścia jeden, a matka ośmnaście, o rok była odemnie starsza. I Magdalenka zawstydzona tém co powiedziała, pobiegła naprzód co żywo. Rawenel spojrzał za nią i westchnął.

— Dobrze to, rzekł, ożenić się młodo, nie prawda panie Flether?

— Zapewne odrzekłem, czemuż się pan dotąd nie ożenił?

— Bo nie znalazłem kobiety któréj bym mógł zaufać i nie wierzę aby podobna mogła się znaleść na świecie.

Wyszliśmy z lasku, i kiedy zbliżyliśmy się do cmentarza, słońce padając na biały marmur grobowca oświetlało wyryte litery: Murjela Halifax.

Lord Rawenel, oparł się o mur i wpatrując się w smutne godła pośmiertnego żalu, rzekł:

— Gdyby ona żyła, byłbym pewnie kochał i nie był jak dziś samotny....

Magdalenka zbliżyła się do nas, a że lubiła przekomarzać się i czasami dokuczać lordowi, który to chętnie znosił, żądała koniecznie żeby powtórzył to, co wyrzekł w téj chwili.

— Mówiłem o Murjeli, odparł biorąc obie jéj ręce i poglądając na nią tkliwie, mówiłem, ile była mi drogą....

— Wiem o tém rzekła Magdalenka, wiem i to, że pan mnie lubisz jedynie dla tego żem podobna do mojéj siostry Murjeli.

— Czy chciałabyś żeby tak było.

Magdalenka cokolwiek się zmięszała ale wprędce przychodząc do siebie, zapytała. Czyś pan nic więcéj nie mówił?

Lord Rawenel zastanowił się chwilę i potém odrzekł z pewném znaczeniem.

— Powiem to, ale innym razem.

Magdalenka odeszła trochę zadąsana, nie domyślając się jednak niczego. Co do mnie, zacząłem się obawiać, tak o nią jak o lorda.

Przez resztę dnia uważałem że nie spuszczał z oka dzieweczki, to zrywał dla niéj bukiety, to pomagał jéj podlewać kwiaty w ogrodzie, a gdy zegar wybił pół do dziesiątéj i matka przypomniała Magdalence, że czas iść na spoczynek, lord Rawenel odezwał się z nieśmiałością.

— Panna Magdalena, nie jest już dzieckiem... a wreszcie może to już ostatni wieczór, w którym tak przyjemnie....

— Ostatni wieczór? przerwała Magdalenka, co za myśl! Pan niedługo powrócisz, wszak prawda? z resztą ja tak chcę, dodała z naciskiem.

— Dałby Bóg, odrzekł cicho, biorąc ją za rękę; czy wrócę, czy nie, pamiętaj o mnie panno Magdaleno!

Magdalenka ocierając łzy z oczu, spiesznie wyszła z pokoju, a matka uważając w tém grymas rozpieszczonego dziecięcia przepraszała lorda za małe to zapomnienie córki.

Rawenel nie odrzekł ani słowa, i powstawszy, poprosił Janka aby pomówił z nim chwilę na osobności. W bibljotece pozostali dosyć długo, Urszula niezmiernie niepokoiła się tą nową tajemnicą, co zaś do mnie, milczałem, nie chcąc uprzedzać rzeczy.

Janek wrócił nakoniec do pokoju.

— Czy lord Rawenel już odjechał? zapytała żona.

— Jeszcze nie.

— O czém on ztobą mówił?

— Janek usiadł przy żonie, pomięszany.

— Powiedz mi, zapytała, czy się stało jakie nowe nieszczęście?

— Nie lękaj się kochanko, odrzekł Janek z uśmiechem. Lord Rawenel prosił mnie o rękę Magdalenki.

— Co? o rękę Magdalenki? zawołała zdziwiona matka; niepodobna! ależ to śmiesznie! Ona jeszcze takie dziecko.

— Mimo to lord Rawenel chcę ją poślubić.

— Lord Rawenel, poślubić Magdalenkę! powtórzyła pani Halifax, żartujesz ze mnie Janku!

W téj chwili otworzyły się drzwi, Rawenel wszedł, przystąpił do Urszuli z poszanowaniem.

— Pan Hali fax oświadczył zapewne pani moj życzenia?

— Tak jest.

— Czy mogę się spodziewać życzliwéj odpowiedzi?

I czekał spokojnie, pewien przyzwolenia rodziców. Lord Rawenel znał położenie swoje w świecie; wiedział że jest jedynym synem i dziedzicem hrabiego Luxmor.

— Trudno mi doprawdy odpowiedzieć, rzekł Janek po chwili milczenia. Ani żona moja, ani ja, nie domyślaliśmy się bynajmniéj uczuć pańskich. Tak nagłe postanowienie....

— Przebacz pan, przerwał Rawenel, postanowienie moje nie jest nagłém: powziąłem je od dawna.

— Tém bardziéj nas to boli.

— Boli? powtórzył Rawenel, spoglądając nie spokojnie na rodziców.

Janek sam nie wiedział co powiedzieć. Pani Halifax wspomniała o wielkiéj różnicy co do wieku między lordem Rawenel a Magdalenką.

— Wiem o tém, odrzekł smutno, alež dwadzieścia lat różnicy, nie może być przeszkodą do małżeństwa...!

— Zapewne że nie, potwierdziła matka.

— Co się tycze innéj różnicy, czy stanu czy majątku....

— Sądzę Milordzie, przerwała matka z godnością, że znasz dostatecznie charakter i wyobrażenia męża mego, aby być przekonanym, że ta różnica mało u niego waży.

Lord zarumienił się i spuścił oczy ku ziemi.

— Szczęśliwy jestem, rzekł, iż opinje nasze zgadzają się w tém zupełnie; mogę też zaręczyć że nie będzie przeszkody ze strony rodziny mojéj. Ojciec pragnie od dawna żebym się żenił, i zostawia mi wolny wybór. Pozwólcie więc państwo, abym się mógł starać o pozyskanie przychylności panny Magdaleny.

Państwo Halifax milczeli oboje.

— Widzę żem się nie dość jasno wytłumaczył, rzekł Rawenel. Powtarzam raz jeszcze, że proszę jedynie, aby mi było wolno, starać się o względy córki pańskiéj, a potém o jéj rękę.

— Przykro mi bardzo, rzekł Janek, że żądasz pan rzeczy na którą pozwolić mi niepodobna....

— Niepodobna? a to czemu? przerwał lord porywczo i zwrócił się do matki.

Urszula spojrzała na niego ze współczuciem.

— Myślę równie jak mój mąż, rzekła smutnie, że małżeństwo to, jest niepodobném....

Lord Rawenel widocznie pomięszany usiadł, powstał znowu, i zapytał.

— Czy wolno mi wiedzieć powody?

— Nieinaczéj rzekł Janek, lubo mi to wielką sprawia przykrość. Przedewszystkiem widzisz sam milordzie że nasza Magdalenka....

— Jakto! przerwał lord, czyby już kochała kogo?

— Nie mówię o tém, Magdalenka jeszcze dziecko prawie....

— Pani sądzi że za młoda? mniejsza o to, zaczekam chętnie rok lub dwa nawet....

Janek nic na to nie odrzekł, lecz widać było że postanowienie jego niewzruszone.

Lord Rawenel uczuł się obrażonym.

— Nie pojmuję pana, odrzekł z dumą. Byłożby to tak wielkiém nieszczęściem dla córki pańskiéj, żeby została kiedyś hrabiną Luxmore?

— Tak jest, nieszczęściem, rzekł Janek z mocą, i oboje z matką wolelibyśmy ją raczéj widzieć w mogile obok Murjeli, niźli hrabiną Luxmore.

Janek ostatnie słowa wyrzekł z dziwną słodyczą i smutkiem zarazem. Lord Rawenel głęboko wzruszony, wspomniał z żalem zmarnowaną młodość swoją, widząc w różnicy wieku główną przyczynę odmówienia.

— „Nie milordzie,” odrzekł na to Janek, czyż bowiem zapominasz jaka nas dzieli przepaść? pomijam czcze względy światowe, idzie tu o rzecz stokroć ważniejszą, osobistą, którąby podkopała szczęście rodziny i ubliżała nawet czci mojéj.

— Czy pan chcesz powiedzieć żem shańbił cześć rodu mojego? zapytał Rawenel ze drżeniem, i w téj chwili zatrzymał się, jakby zrozumiał całą różnicę jaka zachodziła pomiędzy tak zwanym honorem domu Luxmore, a nieskażoném imieniem Jana Halifax.

— „Teraz pojmuję,” mówił daléj nie czekając odpowiedzi.

„Winy ojców karane będą w dzieciach” tak mówi Biblja. Dobrze panie Halifax, nie zatrzymuję pana dłużéj.

— Nie rozumiesz mnie wcale, rzekł Janek. Człowiek odpowiada tylko za własne winy.

— Mamże więc wnosić z tego że pan dla mojéj osobistości, odmawiasz mi córki swojéj?

— Tak jest.

Lord Rawenel pokłonił się szyderczo.

— Chciej pan dobrze pojąć znaczenie moich słów, rzekł Janek. Wiem że świat nic panu nie zarzuci, ale świat wasz nie jest naszym światem. Gdybym ci dał córkę, nie zapewniłbym ci trwałego szczęścia, ale postawiłbym dziecko moje nad brzegiem przepaści, która musi pochłonąć życie zmarnowane bez celu.

— Lord Rawenel milczał jakby przybity do ziemi. Janek spojrzał na niego ze współczuciem.

— Milordzie, rzekł, masz przyjaźń naszą, szczery nasz szacunek, ale są to węzły które mogą trwać bez względu na różnicę, istniejącą pomiędzy nami, w małżeństwie tymczasem musi być doskonała jedność, jednaki cel życia, jednakie przekonanie, inaczéj małżeństwo traci cały urok świętości. To prosta ugoda cywilna i nic więcéj.

Lord Rawenel stał długo zamyślony.

— Tak masz pan słuszność, rzekł nakoniec; wasza Magdalenka nie dla mnie, ani dla podobnych mnie ludzi. Głęboka przepaść istnieje między nami! Jam pospolity człowiek, muszę iść za mojém przeznaczeniem.

— Także to pojmujesz przeznaczenie twoje? rzekł Janek. Czyż zapominasz, nie to, żeś szlachetnego rodu, ale żeś człowiekiem stworzonym na podobieństwo Boże? Jak możesz, jak śmiesz, tak się wypłacać Stwórcy?

— Cóż on mi dał? za co mam być mu wdzięcznym?

— Dał ci życie, wielki dar zaprawdę! dał ci majątek, postawił cię na wysokim stopniu społecznym, zkąd możesz oddziaływać na drugich, słowem dał ci to wszystko, czego inni dosługują ciężką pracą. Daje ci przytém zdrowie, i czas do spełnienia tylu pożytecznych rzeczy. O! gdybym cię mógł przekonać, czém jesteś, czém możesz być w przyszłości.

Promień nadziei rozjaśnił blade oblicze lorda, lecz zgasł niebawem jak błyskawica.

— Powiedziałeś pan czém mogłem być. Teraz zapóźno, już zapóźno!

— Nigdy nie zapóźno, póki człowiek żyje na ziemi!

Janek wymówił to z niezwykłém uniesieniem. Żywy rumieniec wystąpił mu na lica, potém zbladł smiertelnie, zadrżał i przyłożył rękę do piersi.

— Panie Rawenel, rzekł po chwili, przebacz jeżelim cię obraził. Boleśnie by mi było gdybyśmy się rozłączyli podrażnieni.

— Mamyż się koniecznie rozłączyć?....

— Tak jest, przynajmniéj na czas jakiś. Nie mogę narażać ani twego szczęścia, ani też przyszłości mojéj córki.

— Masz pan słuszność, drogie, niewinne dziecię! Dałby Bóg aby była szczęśliwa.

To rzekłszy powstał i zbliżył się do pani Halifax, dziękując jéj za tak licznie odebrane dowody przyjaźni.

— Co do męża pani, rzekł, więcéj mu winienem niż przyjaźń. Dowiodę mu to kiedyś. Zachowajcie mnie tylko w pamięci. Żegnam was.

Janek i Urszula pożegnali go z prawdziwie rodzicielskiém uczuciem.

Wychodząc za próg, zwrócił się raz jeszcze nieśmiało.

— Gdyby.... panna Magdalena, rzekł, dziwiła się długiéj nieobecności mojéj, cóż jéj państwo powiécie?

— Nic, to podług mnie najlepiéj.

— Tak.... prawda.... prawda.

Uścisnął nam rękę po kolei i odjechał.

Długo potém nie widzieliśmy już lorda a ostatnia ta nasza rozmowa została między nami okryta głęboką tajemnicą.

XXXIX.

Dnia jednego przy śniadaniu, w kilka tygodni po odjeździe lorda Rawenel, Janek wypuścił nagle z rąk gazetę.

— Lord Luxmor umarł, zawołał przerażonym głosem.

Tak, lord Luxmor już nie żył, poszedł zdać sprawę z czynności swoich, przed sąd wyższy nad wszystkie ziemskie sądy. Nikt nigdy nie wiedział oprócz syna, jak przeszły ostatnie jego chwile.

Janek milczał długo; gazeta leżała przed nim na stole.

Magdalenka zbliżyła się nieśmiało, prosząc aby jéj wolno było przeczytać ustęp o śmierci hrabiego.

— Nie, moje dziecię, rzekł ojciec, ale możesz słuchać jak będę czytał.

Odgadłem potém przyczynę tego odmówienia, gdym ujrzał po wyliczonych tytułach zmarłego, tę krótką wzmiankę:

„Nieboszczyk hrabia, był także ojcem lady Karoliny Brithwood, zaślubiony w 17.. z Ryszardem Brithwood, a następnie rozwiedzionéj.

Szczególnym zbiegiem okoliczności nieco poniżéj zamieszczono:

„W kaplicy Ambasady Angielskiéj w Paryżu, odbył się ślub Sir Gerarda Wermilji, baroneta, z młodą i piękną córką Lorda M.

Więc nie poślubił Karoliny, jak to przyrzekał łatwowiernéj kobiecie.

Po śniadaniu pojechaliśmy do Zamku Oldtower. Pani Halifax, Ludwika i Magdalenka, prowadziły żywą rozmowę. My z Jankiem siedząc na przodzie, mówiliśmy o ważnym wypadku wyczytanym w dziennikach.

— Biedna Magdalenka! rzekłem, jakże ją zajęła ta wiadomość! Ani się domyśla, że ją to mogło dotknąć jeszcze bliżéj.

— Prawda, rzekł Janek zamyślony. Czemu dodał po chwili nazwałeś ją biedną Magdalenką?

Sam nie wiedziałem co odpowiedziéć na to. Wyobraźnia nasza, podwaja wagę tego, czegośmy nigdy nie posiadali sami. Miłość uczciwa i szczera, rzadkiem jest na świecie zjawiskiem. Otóż przykro mi było pomyśléć że Magdalenka, nie pozna nigdy miłości lorda Rawenel.

Odpowiedziałem coś w tym duchu, Janek milczał a potém zmieniwszy przedmiot rozmowy, zaczął mi mówić o różnych zamierzonych ulepszeniach, tak w fabryce jak między robotnikami.

Janek nigdy nie odkładał nic do jutra; szczególniéj od jakiegoś czasu uważałem, że każdy plan powzięty w myśli, wykonywał natychmiast.

— Janku, rzekłem, ty jesteś jednym z tych wiernych służebników, których Pan zastanie czuwających, gdy przyjdzie.

— Każdy tak czynić powinien, a szczególniéj ja.

Smutno wyrzekł te słowa, sądziłem że miał na myśli, wielką odpowiedzialność swoją, jako ojca rodziny, jako pana licznych robotników, jako właściciela ogromnego majątku.

— Czy widzisz jak ona blada, zapytał mnie nagle.

— Kto? żona twoja?

— Nie, nasza Magdalenka!

— Od jakiegoś czasu, uważam w istocie że trochę blada i zamyślona. Ale nie sądzę, rzekłem, aby się czuła nieszczęśliwą.

— Dzięki Bogu! rzekł ojciec.

— Czyś nigdy nie żałował, obejścia twego z lordem? zapytałem niespokojny.

— Nigdy, lubo mnie to wiele kosztowało.

— A gdyby też Magdalenka, przypłaciła to spokojnością.

Janek zadrżał a potém rzekł smutno.

— Tak samo bym postąpił.

— Janku! zawołałem, mógłżebyś zakrwawić serce twego dziecka?

— Tak, gdybym to czynił dla jéj dobra, dla spokojności życia jéj całego.

Janek mówił z żywém uniesieniem.

(d. c. n.)



E.T

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Nro 22